



Ostatni dzień lata?

Brzmienie Lasu

Muzyka nie zna granic

# BRZMIENIE LASU

Niezwykła i nastrojowa płyta!

Przygotowana z okazji 100-lecia Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu, a nagrana przez Zespół Sygnalistów Myśliwskich Nadleśnictwa Grodzisk „Palatium” i zespół „Sounds Good”.



1. INTRO (Fanfara Uroczysta)	1:15	
2. TUSZ NR 2	4:17	
3. O BRONI	3:16	
4. HEJNAŁ LEŚNIKÓW POZNAŃSKICH	Wojciech Ślonek, Bartosz Kucza	1:54
Utwór skomponowany z okazji 100-lecia RDLP Poznania		
5. HEJNAŁ LASÓW PAŃSTWOWYCH	4:06	
6. HEJ HEJ DO KNIEJ	3:17	
7. FANFARA ECHO	1:45	
8. MARSZ MYŚLIWSKI NR 3	5:21	
9. MYŚLIWY Z KURPFALZU	3:44	
10. HEJNAŁ LEŚNIKÓW POLSKICH	3:17	
11. MARSZ ŚW. HUBERTA	2:38	

BARTOSZ KUCZA – aranżacja, kompozycja, produkcja  
MAGDALENA GÓRŃSKA – projekt graficzny

SERGEJ SZUPRON – produkcja, miks, master

PROPONUJEMY PAŃSTWU WSŁUCHAĆ SIĘ  
W WYJĄTKOWE BRZMIENIE LASU.

Płyta powstała z okazji obchodów 100-lecia Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu. Opierając się na kompozycjach K. Kadleca, R. Stiefa, E. Kruszelnickiego, F. Silchera, prezentujemy tradycyjną muzykę myśliwską w niespotykanych dotąd aranżacjach stworzonych przez Bartosza Kucza. Połączenie dwóch zespołów w nowej aranżacji przybliży Państwu las w muzycznych doznaniach.



Wstuchaj się w muzykę inspirowaną  
pięknem i magią lasu...



**ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ**  
Redaktor Naczelna

Nie poddajemy się. Musimy przetrwać ten wyjątkowo trudny czas. I tutaj powiedzenie „byle do wiosny!” jest chyba najlepsze. Bo po innym też niż zwykle lecie, nadeszła jesień. Martwimy się, jak zachowa się Covid, jak poradzimy sobie z ograniczeniami w kontaktach społecznych, co z pracą i w ogóle z życiem. Czasami nie chce się już o tym mówić i myśleć. Musimy jednak przetrwać, zadbać o siebie i bliskich. Wspierać się nawzajem. My też jesteśmy z Wami i mamy nadzieję, że z chęcią zajrzycie Państwo do tego numeru i na chwilę odprężycie się, zanurzając się w lekturze tekstów naszych autorów. Zapraszamy na spotkanie ze stałymi autorami: Eugeniuszem Brzezińskim, Jerzym Skoczylasem, Alkiem Silberem oraz z goszczącym od niedawna na naszych łamach profesorem Ireneuszem Domagałą. Miło jest mi powitać na naszych łamach Krystynę Zamysłowską, która, dzięki wieloletniej pracy w Muzeum Kinematografii posiada ogromną wiedzę o świecie filmu i zechciała nam część tej wiedzy przekazać.

Nasze pismo jest nierozzerwalnie związane ze Sceną Polską w Holandii, organizacją zapraszającą od 28 lat do teatru i kina w Holandii na polskie przedstawienia i filmy. W tym roku trzeba było zrezygnować z tych wspólnych spotkań, łączących uczestnictwo w wydarzeniach kulturalnych z serdecznymi, przyjacielskimi spotkaniami towarzyskimi. Musimy to jakoś przeczekać. Dlatego cieszymy się obecnością z nami aktora Jacka Kałuckiego, który przysłał „pocztówkę z Polski” i ma nadzieję na przyszłe spotkanie z polską publicznością w Niderlandach. Na ratunek teatromanom przychodzi Grażyna Gramza, która radzi, jak korzystać z wizyt w teatrze online. W artykule „Co z kinami?” opisuję

w skrócie sytuację w jakiej te się obecnie znalazły. Niestety, to jeden z tych działów kultury, który ponosi największe straty. Odwołane festiwale, opóźnione premiery filmów, zamknięte kina. W nie najlepszej sytuacji znalazła się niderlandzka premiera filmu Jana Komasy „Boże Ciało”. Informuję o tym Państwo, a Wy sami zdecydujecie, czy siądziecie w fotelu kinowym.

Namawiam natomiast do zajęcia miejsca w fotelu, położeniu się na kanapie czy wybraniu innej wygodnej pozycji i wzięcia do ręki naszego pisma...tak pragnęłabym napisać. Przyznam, że pomimo zerowego w tym roku dofinansowania ze środków polonijnych, zdecydowaliśmy na drukowanie skromnego nakładu, aby zachować ciągłość

ukazywania się pisma w wersji drukowanej. Kto z Państwa takie wydawnictwo chce zamówić proszony jest o kontakt z redakcją

A jak zachęcić do czytania online, gdy braknie – z powodów finansowych – wersji drukowanej dostępnej dla wszystkich? I chociaż ostatnio gremialnie zmuszeni jesteśmy do tej właśnie formy kontaktów to co, mam napisać: siadajcie w fotelu z laptopem na kolanach? No chyba...i nie zapomnijcie o filiżance kawy lub szklance gorącej herbaty; jesienią z pewnością się przyda.

Proszę, piszcie do nas swoje opinie, dzielcie się refleksjami. Chcemy wiedzieć jak nas odbieracie, gdzie nas czytacie, dokąd docieramy? Zapraszamy do kontaktu mailowego: poolspodium@gmail.com.



SCENA POLSKA | Nr 2(103)/2020 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schrotten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.poolspodium.org

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet | Mac Map

OKŁADKA: fot. Marek Luzar (www.marekluzar.pl) | Projekt okładek wewnętrznych: Mariusz Mamet

DRUK: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki sp.j.



# Co z kinami?

ZOFIA

SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

W łódzkim magazynie kulturalnym Kalejdoskop nr 09/2020 przeczytałam ciekawy artykuł poświęcony kinom: „Widzowie nie wrócili do kin, które rząd pozwolił otworzyć 6 czerwca. Są przestraszeni. Nie chcą oglądać filmów w maseczkach. Nie mają czego oglądać, bo opóźniły się premiery. Ludzie wybrali ogródki restauracyjne albo po prostu wyjechali na wakacje. Według szacunków Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej w czerwcu polskie kina odwiedziło 92 tys. widzów. Rok wcześniej było ich 2,75 mln. (pisze Bogdan Sobieszek).”

W rozmowach z szefami łódzkich kin autor porusza temat wpływu pandemii na kina:

– *Jest słabo, źle, widzów jak na lekarstwo* – mówi Wojciech Wojtysiak, szef kina Bodo, które do końca sierpnia pracuje w trybie letnim, od soboty do wtorku. – *Bywają dni, że nikt nie przychodzi. Rynek się załamał.* „

– *Na przełomie czerwca i lipca w czterosławowym Charliem, odbył się przegląd najnowszych kina hiszpańskiego. W poprzednich latach „chodził” niemal na kompletach. Teraz zgromadził najwyżej jedną dziesiątą tamtej widowni. – Brak repertuaru jest szczególnie dotkliwy dla kin studyjnych* – mówi właściciel Charliego Sławomir Fijałkowski. – *Wszystkie ważne tytuły w tym segmencie wchodzi w okresie roku akademickiego. Brak więc filmów dla naszej widowni. Po otwarciu musimy wrócić do tych starszych – do „Hejtera” i „Bożego ciała” Jana Komasy, ale były one już wyeksploatowane na platformach VOD. Ale jest też nutka optymizmu – Wielu kinomanów idealistów uważa, że projekcje online są tylko namiastką prawdziwego kina w trudnych czasach – dla nich liczy się magia wyciemnionej sali projekcyjnej, jakość dźwięku i obrazu, współodczuwanie z resztą widowni.... Kino przetrwało rewolucję wideo, płyt DVD. Obecnie rywalizuje z platformami VOD. Kiniarze mają nadzieję, że i z niej wyjdzie zwycięsko.*

Szukając dalej aktualności o sytuacji w polskich kinach znalazłam interesujący blog Krzysztofa Spora <http://sporwkinie.blogspot.com/>. W artykule zatytułowanym: „Polacy rezygnują z kin, teatrów i restauracji” dzieli się wynikami badań zrealizowanymi na zlecenie Rejestru Dłużników BIG Info Monitor z których wynika, że z wizyt w kinie i teatrze zrezygnowało 47 proc. Polaków, tyle samo mniej chętnie odwiedza galerie handlowe, a 46 proc. nie tak często jak wcześniej bywa w restauracjach. Jak podano w raporcie, mimo że już od dłuższego czasu



można bez problemów wybrać się do kina, restauracji, lekarza, fryzjera, na siłownię czy do kościoła, większość osób, która wcześniej bywała w tych miejscach, teraz robi to rzadziej, a niektórzy nadal unikają wyjść.

Najbardziej radykalne zmiany w codziennych nawykach pandemia spowodowała w podejściu do aktywności rozrywkowych, takich jak wyjścia do kina lub teatru. Z seansów i spektakli całkowicie zrezygnowało 47 proc. pytanych, którzy wcześniej w tego typu miejscach bywali (najwyższe wskazanie w badaniu), a 35 proc. dziś zagląda do kin i teatrów rzadziej niż przed pandemią.

Niedawno w Polsce ruszyła ogólnopolska kampania społeczna „Kino to emocje” wspie-



rana przez Polski Instytut Sztuki Filmowej i Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, stając w obronie kin, zwłaszcza tych mniejszych, studyjnych i zachęca do powrotu przed duży ekran poprzez wspólny hashtag: #ChodźDoKina. Taka jest sytuacja w Polsce.

## Festiwale Filmowe

Wygłąda to bardzo różnie. Mapa planowanych festiwali w tym roku zmienia się, reagując na wiadomości o rozwoju pandemii. Był latem czas gdy w Polsce, mniejsze, chociaż nie mniej bardzo ważne festiwale, odbyły się w zaplanowanym terminie. Sprzyjały temu miejsca, czyli mniejsze miasta i skupiska ludzi oraz mniejsza liczba zakażeń. Odbyły się więc m.in. 17. Festiwal Filmów-Spotkań Niezwykłych w Sandomierzu (edycja hybrydowa), 49. Lubuskie Lato Filmowe w Łagowie,

47. Inskie Lato Filmowe w Insku czy 39. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych Młodzi i Film w Koszalinie.

Jednak największe międzynarodowe festiwale, które przez cały rok przygotowują się do pokazów i gromadzą olbrzymią liczbę widzów i gości, zostały odwołane lub przesunięte na przyszły rok. Niektórzy organizatorzy liczą jeszcze, że uda się przeprowadzić festiwale planowane na koniec roku.

W czasie gdy piszę te słowa odbywa się w Utrechcie Nederlands Film Festival (krajowy festiwal, holenderski odpowiednik Festiwalu w Gdyni), ale inaczej niż co roku. Połączono wersję hybrydową ze znacznym ograniczeniem spotkań live. Festiwal Filmowy w Gdyni zaplanowano na grudzień 2020. Kilka miesięcy oczekiwać, wszystko może się jeszcze zmienić. Trzeba mieć nadzieję, że na lepsze.



## A w Holandii?

Na bieżąco śledzę sytuację w kinach holenderskich, w których obowiązują ściśle reguły związane z trwającą epidemią. Ostrożność zalecana.

Scena Polska już w marcu odczuła skutki rozwijającej się pandemii. Znana z organizowania od ponad dwudziestu lat przeglądów i festiwalu polskiego filmu w Holandii, po raz pierwszy musiała podjąć decyzję o odwołaniu kwietniowej edycji 11 Polskiej Wiosny Filmowej, zaplanowanej w tym roku w Delft. W programie znalazło się 5 najnowszych filmów: „Supernowa”, „Wszystko dla mojej matki”, „Mister T.”, „Człowiek z magicznym pudełkiem”, „Żelazny most” i kinowa premiera w Holandii filmu „Boże Ciało”. Większość tych filmów, świętuje teraz sukcesy na międzynarodowych festiwalach filmowych. Zastanawiano się jeszcze nad jesiennym przeglądem, ale sytuacja na to nie pozwala.

Zaglądam na stronę kina Lumen w Delft, w którym odbędzie się 8 października holenderska premiera filmu „Boże Ciało” w reżyserii Jana Komasy. (przesunięta z kwietnia). W największej sali nie więcej jak 32 miejsc dla chętnych. Oglądam plan rozkładu krzeseł na dużej sali w kinie. O wszystkich zastrzeżeniach widzowie mogą przeczytać na stronie kina <https://www.filmhuis-lumen.nl/coronavirus-maatregelen/>.



Na prośbę kina informuję o premierze głośnego polskiego filmu dodając, że tym razem opatrzony jest napisami w języku niderlandzkim. Tom van Velze z Lumen w materiałach promujących film wspomina o współpracy ze Stichting Pools Podium, dzięki której, widzowie w Delft mogli oglądać wcześniejsze filmy tego reżysera: „Sala samobójców”(2011) i „Warszawa 44”(2014). „Boże Ciało” to trzeci film Jana Komasy na który zapraszają kino Lumen i Scena Polska. ■



## Kino Lumen w Delft zaprasza:

<https://www.filmhuis-lumen.nl/film/corpus-christi-premiere/>

DOELENPLEIN 5, 2611 BP DELFT

+31 15 2140226

[contact@filmhuis-lumen.nl](mailto:contact@filmhuis-lumen.nl)

Musimy przeczekać te trudne dla kochających wyjścia do kin i teatrów. Miejmy nadzieję, że nie potrwa to długo i wyjdziemy z tego w dobrym zdrowiu. I ponownie kina i teatry staną się naszymi miejscami obcowania ze sztuką, przyjacielskich spotkań i dyskusji.

# Teatr w czasach zarazy



## GRAŻYNA GRAMZA

Przez ostatnie kilka miesięcy nasze życie stanęło na głowie albo zwyczajnie... stanęło. Nie mogliśmy wychodzić z domu, podczas spacerów czy zakupów nadal powinniśmy utrzymywać dystans, ciągle dokładnie myjemy ręce używając do tego środków dezynfekujących. Kto tylko może, pracuje w domu. Inni z obawą przemieszczają się i starają zachować odległość. W autobusach czy pociągach zakładamy maseczki... Martwimy się o bliskich. Tak, życie stało się ograniczone i chociaż już możemy pójść do kina i do restauracji, to zdecydowanie rzadziej z tej możliwości korzystamy. Podobnie z teatrem... W maju mieliśmy gości w Holandii Mariana Opanię, Wiktora Zborowskiego i Krzysztofa Maternę ale corona virus pokrzyżował wszystkim plany i ci wspaniali aktorzy do nas nie dotarli. Izolacja wszystkim dała się we znaki i chyba każdy próbował jakoś urozmaicić sobie czas w domu by nie popaść w totalny marazm. Na szczęście wielu artystów podjęło trud występowania online. Teatry udostępniły swoje przedstawienia i dzięki temu była okazja zobaczyć na przykład kultową „Danutę W.”, którą od 2012 roku wystawia teatr „Polonia”. W rolę żony przywódcy „Solidarności” wcieliła się fantastyczna Krystyna Janda. Spektakl urozmaiciły zdjęcia dokumentalne. Rzecz była naprawdę godna obejrzenia. W Internecie nadal znajdziemy „Klimakterium i już”, zabawną komedię o perypetiach pań w okresie menopauzy, którą wyreżyserował Cezary Domagała, a przez sześć lat wystawiał teatr „Capitol”. Przedstawienie cieszyło się takim zainteresowaniem, że na życzenie publiczności Elżbieta Jodłowska, która sama gra Pamelę, dopisała ciąg dalszy i możemy znowu pośmiać się z perypetii życiowych bohaterki. Oprócz Elżbiety Jodłowskiej, w rolach Maliny, Angeli i Zosi oglądamy: Ewę Cichocką, Małgorzatę Gadecką i Elżbietę Okupską. Teatr Telewizji nie pozostał w tyle i udostępnił „Rozmowy z katem” (2007) z Piotrem Fronczewskim w roli Jürgena Stroopa. Spektakl ważny i bardzo trudny. Niezwykle przejmujący. Jednak dla mnie najbardziej interesującą propozycją, jaką znalazłam na czas pandemii,

była sztuka izraelskiej pisarki Anat Gov zatytułowana „Boże mój”, którą w czerwcu udostępnił w Necie Teatr Mazowiecki. Fabuła jest niezbyt skomplikowana: do psycholożki przychodzi pacjent, który zadziwiająco dużo o niej wie. Początkowo Ella bierze pana B. za wariata i chce go odesłać do psychiatry ale w czasie rozmowy wyłania się obraz Boga rozczarowanego stworzeniem człowieka. W zamierzeniu Stwórcy człowiek miał być Jego partnerem i darzyć Go przyjaźnią. Bóg czuje gorycz, ponieważ ludzie wzywają go tylko w czasie niepowodzeń życiowych lub wykorzystują do manipulowania innymi. Ella, sama niewierząca, stara się uświadomić pacjentowi przyczyny takiego postępowania innych a jednocześnie zarzuca mu egocentryzm i okrucieństwo wobec tych, którzy go najbardziej ukochali. Przykład Hioba powoduje, że Pan B. przyznaje, że jego postawa wobec ludzi bierze się z bezsilności. I mimo, że od dwóch tysięcy lat prawie nie ingeruje w ży-

cie człowieka, to przygląda mu się i słucha jego modlitw. Stąd tak dużo wiedział o Elli – o jej trudnym macierzyństwie, samotności, a nawet o chęci odebrania sobie życia kiedy okazało się, że jej synek jest nieuleczalnie chory. Danuta Landowska stworzyła w tym przedstawieniu znakomitą kreację. Gra tak przekonująco, że zapominamy, że nie jest prawdziwą terapeutką. Z kolei Andrzej Mastalerz w stroju Daniela Craiga, którego podziwiała Ella, jest Bogiem...

I chociaż bohaterka jest ateistką, to po tej sesji dochodzi do wniosku, że nie chciałaby żyć w świecie bez Stwórcy. „Boże mój” to mądry i ciekawy teatr, który każe nam zastanowić się nad tym, co w życiu jest ważne. A rezygnacja Boga ze zniżki w opłacie, którą mają u Elli celebryci, tym bardziej nastawia nas przychylnie do Istoty Najwyższej, nawet tak zagubionej jak Pan B. Przedstawienie polecam każdemu, bo można się wzruszyć, ale też uśmiechnąć, a tego nam ostatnio bardzo trzeba. ■



## Gdzie szukać spektakli?

- <https://teatrpolonia.pl/pr/549130/na-czworakach-i-pan-jowialski-premiery-online-rejestracji-spektakli>
- <http://teatralny.pl/teatr-online>
- <https://spektakleonline.pl/>
- <https://ninateka.pl/filmy/teatr>

# Afirmacja nietrwałości



## IRENEUSZ DOMAGAŁA

**G**rafik, scenograf zwykle na papierze rysuje, ale papier, jako materia miękka i fascynacja nim, ma u mnie swoje początki z czasów studiów, z czasu pobytu w Pracowni Tkani-ny prof. Magdaleny Abakanowicz w połowie lat siedemdziesiątych XX wieku. To wtedy odkrywałem kruchość struktur miękkich. Papier, tektura, taśmy, gazety, sznurki, len, nici. Ta pracownia była moim oknem na świat tekstyliów. Potem była przygoda z teatrem papierowym w Düsseldorfie na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, a fascynacja soft-art'em nadal kontynuację w mojej pracy scenografa i kostiumografa.

Moje niekonwencjonalne, jednorazowe i kruche kostiumy oddają jakby istotę mody – jej przemijalność! Moje papiero-

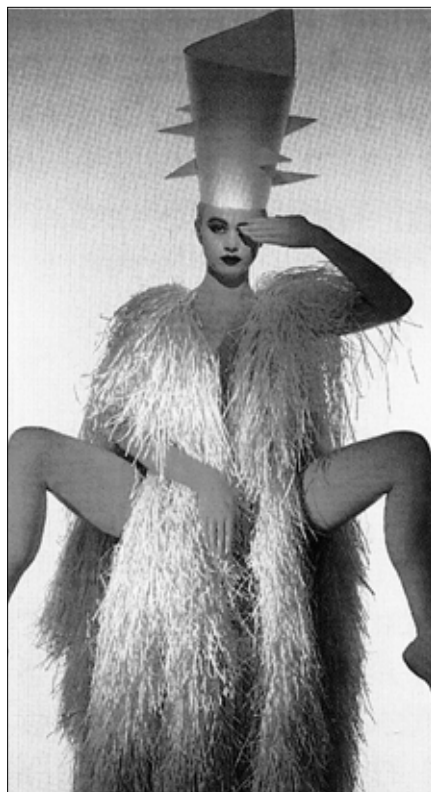
we, kostiumy, jeżeli zdążą, sławią nietrwa-łość. Wśród wszystkich przejawów nie-trwałości, przemijania i kruchości, ciało ludzkiej jąt najbardziej wrażliwe na dzia-łanie czasu, szczególnie ciało modelki, której zawód trwa bardzo krótko. Zderze-nie kruchych materii z ciałem modelek prowokuje, paradoksalnie, efekt niespeł-nienia, bo jednorazowe użycie kostiumu z takich materii wyzwala do wykreowania następnych. Często są to kostiumy na uży-tek jednego pokazu, po którym kostium nadaje się do wyrzucenia.

Po kilkudziesięciu latach doświadczeń z kostiumem papierowym, jestem coraz bardziej przekonany, że kruchość i de-likatność papieru najbardziej współgra z ciałem kobiety. Ważny jest rytm jaki rodzi się pomiędzy kostiumem i ciałem modelki. Staje się dopełnieniem formy, piękna i ruchu. Spodnie z papieru dla mężczyzny, to jeden krok... i po zabawie! Ciało modelki czy aktorki jest często po-wodem do pomysłu na kolejny kostium, są to inspiracje najbardziej zmysłowe, wyzwalające odwagę w proponowanych formach i użyciu materiałów np. prze-zroczystych. Aby kobietę ubrać, trzeba ją najpierw rozebrać. Nić porozumie-nia między mną, a modelką jest bardzo istotna, gdyż ona staje się impulsem wy-kreowania kostiumu. Odkrywanie ciała

zależy od porozumienia z modelką, ale nie zawsze nagość musi być pokazywana, bo eliminuje epatowanie tajemniczością i niedopowiedzeniem. Odślonić tyle, aby wszystkiego nie pokazać. Jeżeli wszystko pokazuje się wprost, nie ma intrygi.

Propozycje kostiumu z niekonwencjo-nalnych materiałów sytuują się na granicy używalności i mody wysokiej – „Haute couture”. Są jak poza praktyczne unikatki w swojej nieobojętności formy i materii. Materiały z odzysku, znalezione na obrze-żach recyklingu jak: folie, serwetki papie-rowe, rurki i listwy piankowe, gąbki, siatki plastikowe, stretch czy żyłki – poszerzają gamę stosowanych przeze mnie materii. Ich muzyczność/szelest, gięcie, darcie/wzboga-ca interaktywność modelki z kostiumem.

W przeciwieństwie do kostiumu te-atralnego, kostium z papieru czy taśm wideo lub innych nietrwałych materiałów nie musi mieć żadnych funkcji i znaczeń, poza prezentacją piękna. Jest czystą grą wyobraźni projektanta, grą modelki i ar-tysty w irracjonalnej aurze przemijania zachwytu chwilą na wybiegu. Nie jestem więźniem mody. Nie respektuję palety kolorystycznej ustalanych przez wielkich krawców na dany sezon, nie poddaję się terrorowi kroju. Nie muszę być więźniem mody, aby być modnym i dobrze ubra-nym. Wraz z nami moda przemija. ■



„Białe futro” – modelka Magda Hoszowska  
(cięty papier) Fot. Maciej Mańkowski



„Kalia” (listwy piankowe, arkusze gąbki)



„Eksplzja” (cięte rurki otulinowe)

# „Byłam fotosistką\* Andrzeja Wajdy”



## KRYSZYNA ZAMYSŁOWSKA

**10** lipca 2020 roku w wieku 77 lat zmarła legendarna polska fotosistka filmowa Renata Pajchel.

Urodziła się 1942 roku w Warszawie. Była absolwentką Wydziału Operatorskiego łódzkiej Szkoły Filmowej, jednak za kamerą spędziła niewiele godzin. Przez ponad 50 lat pracowała z aparatem fotograficznym, dokumentując plany zdjęciowe. Robiła fotosy. Znakomite.

W jej dorobku zawodowym znajdują się fotosy do ponad stu filmów fabularnych. Współpracowała m.in. z Krzysztofem Zanussim, Andrzejem Żuławskim, Januszem Morgensternem, Agnieszką Holland, Krzysztofem Kieślowskim, Januszem Zatorskim, Andrzejem Barańskim, Witoldem Adamkiem.

Pierwsze fotosy wykonała jeszcze jako studentka do filmu „Dwa żebra Adama” Morgensterna z 1963 roku.

Określana często jako fotosistka Andrzeja Wajdy, spędziła na planie jego filmów prawie 30 lat. Oprócz fotosów jest autorką wielu tysięcy werków czyli zdjęć dokumentujących pracę ekip na planach filmowych. Trudno wyliczyć filmy Mistrza, przy których pracowała. Zaczęło się od „Wszystko na sprzedaż”, potem były następane filmy: „Polowanie na muchy”, „Krajobraz po bitwie”, „Brzezi-na”, „Wesele”, „Ziemia obiecana”, Człowiek z marmuru”. Człowiek z żelaza” a zakończyła współpracę na planie filmu „Pan Tadeusz”.

Renata Pajchel tak wspomina współpracę z Mistrzem:

„Nasza współpraca zaczęła się od zabawnego zgrzytu. Przyniosłam Wajdzie wybrane zdjęcia fotosowe do filmu „Wszystko na sprzedaż”. Zupełnie mu się nie spodobały i wszystkie je chciał odrzucić. Ale ja byłam pewna swojego wyboru i zrobiłam wszystko, żeby Wajdę przekonać. W końcu zgodził się, a potem zaufał mi do tego stopnia, że dał mi wolną rękę przy wyborze fotosów, które składały się na zestaw reklamowy kolejnych jego filmów... lubił moje fotosy. Parę razy przeżyliśmy niebываłe rozmowy i historie.

Natomiast ja walczyłam o to, żeby zdjęcia jego filmów były wyraziste i dynamiczne. Miał do mnie zaufanie – wspominała fotosistka.

W jednej ze scen z filmu „Panny z Wilka” Wajda obserwując, jak ustawiam i wykonuję zdjęcia, kazał jeszcze raz kręcić scenę tak, jak ja robiłam zdjęcia!

Takie sytuacje należą do rzadkości, ale przynoszą największą satysfakcję fotosistce.

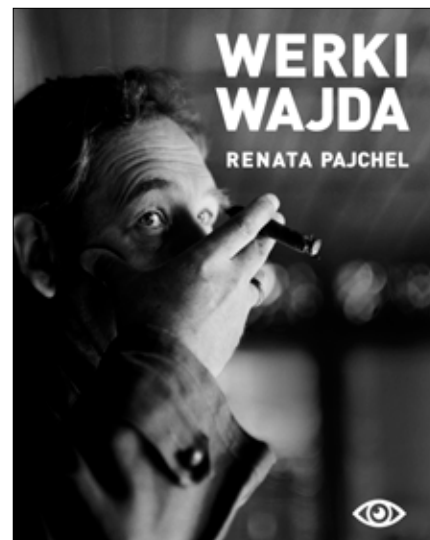
Ona pierwsza – mówi operator Kurt Weber – traktowała pracę na planie jak reporter, a nie jak teatralny fotograf. Inni fotosiści aranżowali sytuację aktorską dla własnych potrzeb, co pociągało za sobą dyskusję z aktorami czy z mistrzem oświetlenia (...). W tej tradycji system pracy Renaty Pajchel był czymś nowym, czymś nowoczesnym i bardziej adekwatnym do tempa pracy ekipy filmowe.

Uważa się, że to ona podniosła zawód fotosisty do rangi sztuki.

Czuła aparatem plan filmowy jak inny – mówi Andrzej Pągowski, znakomity artysta grafik.

Wybitna polska aktorka Maja Komorowska tak wspomina lata współpracy z artystką:

Lubiłam patrzeć jak pracuje na planie, jak ze zdjęć dokumentujących filmy robi po prostu sztukę. Była niezwykła w uporze takiego ustawiania, kadrowania, jakie uważała za jedyne. Gotowa pokonać schody, murki, przeszkody, schematy, żeby zrobić zdjęcie. Wielki talent, wyobraźnia, humor. Piekn Człowiek.



Projekt plakatu – Sławomir Bit

W 2019 roku Renata Pajchel postanowiła udostępnić niepublikowane do tej pory zdjęcia ze swojego prywatnego archiwum. Stowarzyszenie Filmowe Kinoart przygotowało ekspozycję „Werki. Wajda. Renata Pajchel”, którą artystka otworzyła w listopadzie ubiegłego roku. Do ostatnich chwil wraz ze Sławkiem Bitem pracowała przy albumie pod tym samym tytułem.

Fotografie, które zostawiła stanowią prawdziwą historię kina polskiego. ■

*\* Fotosista to osoba, która przebywając na planie filmowym, uwiecznia poszczególne sceny, backstage, aktorów w charakterystycznych pozach, prace operatorów, dźwiękowców, statystów. Efektem ich pracy są fotosy i werki.*



R. Pajchel i A. Wajda

fot. Tomasz Komorowski



# Ostatni dzień lata?



## EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

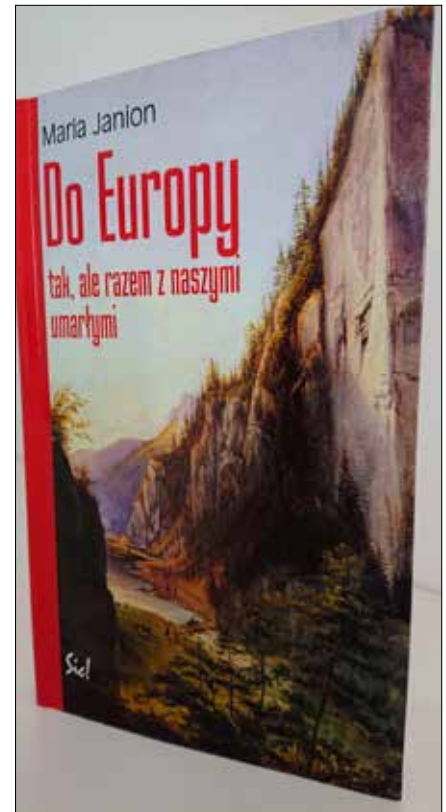
Zrobiło się nagle jesienią i jakby bardziej melancholijnie. Na dworze szaruga jakaś, deszczyk jakiś nawet nie tyle pada, co w powietrzu wisi („dżdż” – jakby powiedział Mistrz Ildefons) i w ogóle tak dosyć niemrawo. Do tego wszystkiego jestem na kolejnej kwarantannie. Tym razem, na szczęście dosyć krótkiej, bo tylko dwudniowej, ale jednak. Otóż okazało się w poniedziałek, że mojego syna zdiagnozowano pozytywnie na obecną chorobę, a jako że widział się ze mną w ubiegłą niedzielę, to obowiązuje mnie kwarantanna dziesięciodniowa. No więc siedzę w domu, chociaż tu, w Niderlandach (dawn. Holandii), w zasadzie nikt tego nie sprawdza i kwarantanna jest zaledwie „zalecana”, a nie przymusowa. Nie ma takiego prawa, na podstawie którego można byłoby człowieka zmusić do przebywania w domu. Taki to dziwny kraj, w którym trzeba ustanowić specjalne prawo, żeby ludziom ograniczyć wolność. A znam inny kraj, w którym wystarczy wziąć udział w demonstracji o prawa ludzi nieheteronormatywnych (kto wymyślił to słowo!), żeby trafić do aresztu na minimum 24 godziny. Bez kontaktu ze światem zewnętrznym. No cóż, już kiedyś pisałem na tych łamach o wyczynach policji, więc nie będę się powtarzał.

Tyle różnych rzeczy się dzieje, szczególnie jakby w strefie, nazwijmy to, emocjonalno-duchowej, tyle refleksji przychodzi po rozmaitych lekturach i wydarzeniach na świecie, że chcąc to wszystko choćby na własny użytek jakoś opisać, życia by nie starczyło. Nawet emerytowi, jak ja. Wziąłem się – dosyć spontanicznie – za jedną z czterech czy pięciu stojących na półce mojej nowej biblioteki książkę Marii Janion „Do Europy tak, ale tylko z naszymi zmarłymi”. Nawet nie dojechałem do połowy, kiedy przyszła wiadomość, że Pani Profesor zmarła. Więc zanim zdążyłem choćby jedną odrzucić refleksję wynikłą z lektury prze-

rzucić na papier – wszyscy zaczęli pisać o Marii Janion i jej twórczości. Więc cóż ja tu mogę od siebie mądrego jeszcze dodać?! Fragment artykułu wstępnego J. Baczyńskiego z najnowszej „Polityki” bardzo dokładnie oddaje moje refleksje dotyczące jednego z poruszanych przez M. Janion problemów: karmienia Polaków – szczególnie intensywnie przez nasze obecne „władze” (ale wydaje mi się, że w Peerelu robiono to równie ochoczo) – przesłaniem o naszej wyjątkowości w ponoszeniu ofiar, w naszej martyrologii i nieszczęściach na nas spadających ze wszystkich stron bez naszej winy i naszej tragicznej dumy z „gloria victis” (żebyśmy tak chociaż raz zaczęli być dumni z jakiegoś zwycięstwa!). Pozwolę sobie zacytować ten fragment:

„Na pogrzebie Pani Profesor Marii Janion – na który oczywiście nie pofatygował się żaden przedstawiciel rządu – słuchając wielu wzruszających, mądrych wystąpień, pomyślałem, że może ktoś tam jednak przeczytał cokolwiek z Janion i bał się wstydu? Pani Profesor, pisząc o epigońskich wynaturzeniach polskiego romantyzmu, na wiele lat przed PiS zwracała uwagę na – ciągnącą się przez polską historię – ideologię zwulgaryzowanego mesjanizmu, łączącego zadęcie i pychę z biernością i pretensjami wiecznej ofiary. Mówiła o niebezpieczeństwach tworzenia państwowej religii politycznej, traktującej odmienności przekonań, ale właściwie wszelkie odstępstwa od uświęconej, zadekretowanej normy, jako akt winy i zdrady. Antysemityzm, homofobia, mizoginizm, rasizm, bigoteria – to mroczne tło owego „narodowego charyzmatu”, o którym pisała Profesor. Pewnie to zbyt niżej zaszczyt, aby do PiS stosować kategorie wprowadzone do polskiej humanistyki przez Marię Janion, ale przecież widać, że większość Polaków wciąż daje się tą – usprawiedliwiającą każdą nieprawość i nieudolność – retoryką znieczulać i zaspokajać. Dobrze, że przynajmniej część młodego pokolenia (chyba rosnąca, jak zauważyliśmy podczas wyborów prezydenckich) ma to gdzieś, a ostatnie, czego oczekuje od władzy, to żeby „w imię narodowych wartości” sprawowała władzę nad nimi i ich życiem. Do nich PiS już nie trafi. Co, jak na czas politycznej smuty, przynosi odrobinę optymizmu.”

No i cóż ja mógłbym tutaj jeszcze mądrego dodać? Już dawno temu, w jednym ze swoich tekstów w naszym Kwartalniku napisałem taką „złotą myśl”, że je-



stem przekonany, że wszystko, ale to absolutnie wszystko, zostało już napisane i ratuje ludzi piszących kolejne teksty wyłącznie to, że nie jesteśmy – nikt nie jest! – w stanie tego wszystkiego przeczytać. Więc piszemy wciąż od nowa, wciąż „swoimi słowami” (albo i nie) te same historie, te same opinie, te same komentarze, może nawet te same powieści. Wystarczy wejść do pierwszej większej księgarni (a byłem w jednej z największych na świecie, w Portland, Oregon) i zobaczyć, ile tam jest książek napisanych i nieprzeczytanych. A przecież to zaledwie jakiś ułameczek ułamka! Kto to wszystko przeczyta??? Podczas lektury «Do Europy» autorka powołuje się wciąż na książki i autorów, których nie tylko, że nie czytałem, ale o których nawet nie miałem pojęcia, że istnieją. Co tu zresztą mówić o tak, jednak dla znawców pisanych, lekturach skoro na półkach mojej biblioteki stoi chyba połowa książek wciąż nieprzeczytanych! Staram się, jak mogę, ale przecież zacznym mieć poważne wątpliwości co do długości mojego życia potrzebnej do lektury tego wszystkiego. A przecież wciąż dochodzą nowe, które „koniecznie trzeba” przeczytać! To jakiś dramat, przy którym Syzyf przestałby zapewne wątpić w sens swojej pracy.

# Tęsknota za lasem i nieplanowane lato w Utrechcie

ZOFIA

SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Tak się złożyło, że od wielu lat po raz pierwszy pandemia i sprawy rodzinne zatrzymały mnie na całe lato w Utrechcie. Jak to będzie? Czy bliskość rodziny i czas spędzany z ukochanymi wnukami uciszy częściowo moją tęsknotę za przyrodą? W ostatnich latach prawie pięć miesięcy, z przerwami na krótkie powroty do Utrechtu, budziłam się w lesie ładując swoje baterie na jesień i zimę w mieście.

## Kwarantanna w lesie

Wcześniej, czas izolacji w Holandii, w okresie od marca do czerwca, udało się nam z córką i jej kilkumiesięcznym synkiem spędzić w środku lasu w Polsce. To w jakimś stopniu wzmocniło nas i za to jesteśmy naturze wdzięczni. Dla mojego męża Holendra, tyle czasu w odosobnieniu w lesie było wielkim wyczynem. Ale dał radę. W końcu działał Internet! Gdy jechaliśmy w marcu do Polski, okres oczekiwania na granicy wynosił 20 godzin. Mimo to podjęliśmy tę decyzję, spodziewając się cudu. I zdarzył się. Zaryzykowaliśmy przejście graniczne we Frankfurcie. Cud – dwa samochody i szybkie wypełnienie ankiet związanych z kwarantanną. Słowo, które do tej pory było nam obce... W tym miejscu chcę podziękować służbom z Nowego Tomysła, które troskliwie się nami w tym czasie opiekowały. Codziennie, miła pani z Sanepidu telefonowała pytając, jak się czujemy i czy

czegoś nie potrzebujemy. Panowie z Policji zgłaszali, że za chwilę będą pod bramą i chcą nas „policzyć”. No i liczyli, na początku pytali o pana Anatola, ale kilkumiesięczne niemowlę jakoś im nie pasowało do obrazu całości. W spisie, który mieli nie było dat urodzin. Mieliśmy z tego trochę zabawy, ale po jakimś czasie panowie policjanci byli już naszymi dobrymi znajomymi. Gdy po dwóch tygodniach żegnaliśmy się życząc sobie nawzajem dużo zdrowia, usłyszałam, że jestem pierwszą osobą, która im dziękuje i pyta o ich rodziny oraz samopoczucie. Często słyszą nieprzyjemne uwagi od osób, które odwiedzają. A ja czułam się zaopiekowana, nie kontrolowana. A to jest różnica. Dziękuję paniom z Sanepidu i Policji z Nowego Tomysła.

A potem przyszedł... śnieg. Zasypało nas na białą. Natura jest nieprzewidywalna i... piękna. Pokuszę się na chwilę o dygresję. Tereny w nowotomyskim, wieś Nowa Róża i siedlisko gdzie latem Scena Polska w Holandii i Fundacja „hOlendry” prowadzą działalność letnią, znana jest z dawnego osadnictwa olęderskiego. Młodzież ze Sceny Młodych przy Pools Podium nakręciła tam nawet film pt. „Śladami Olędrów” transmitowany przez TV Polonia na cały świat. Narrator w filmie, chwając pracę osadników olęderskich na trudnych terenach leśnych i podmokłych bagnach komentuje: „Z przyrodą się nie walczy, z przyrodą się współpracuje”.

Gdy stopniał śnieg i przyszła wiosna zakwitły posadzone przeze mnie tulipany. Potem powoli budziły się do życia krzewy

czarnego bzu, zakwitły lipy, pojawiły się owoce na drzewach mirabelki i jabłka, rzadko już spotykane papierówki, a w trawie zaroilo się od szczawiu. Wspomnę jeszcze kwiaty mleczy i młode pokrzywy. Raj darów natury, których smak, co roku, próbowałam zamknąć w słoiczkach „na zimę”. Tym razem pozwoliłam naturze cieszyć nasze oczy, a nie smaki. Za rok to wszystko znów do nas wróci. Wówczas przyjmujemy w nasze progi gości, których w tym roku nie mogliśmy i razem będziemy cieszyć się wiosną.

Cicho tego roku w naszym lesie. Planowane spotkanie chorych na stwardnienie rozsiane z rodzinami i opiekunami w cyklu corocznych spotkań „Las Bez Barrier” nie odbyło się z powodu pandemii. Może płyta z udziałem leśników pt. „Brzmienie lasu” przypomni nam minione wspólne 10 lat spotkań w lesie i pozwoli poczekać cierpliwie do spotkania w przyszłym roku? Nie ma gwary dzieci, namiotów harcerskich i piosenek przy ognisku. Słychać tylko, jakby głośniejszy, śpiew ptaków i szum lasu. Do przyszłej wiosny!

## Lato w mieście

Wyjątkowo ciepłe i słoneczne w tym roku. Mieszkam w spokojnej, zielonej dzielnicy niezbyt daleko od starego centrum miasta. Jakież 10 minut rowerem. Zwykle lubię tam chodzić. Ale tego lata byłam tam tylko kilka razy. Jest jakoś inaczej... te dystanse między ludźmi przypominające, że gdzieś wciąż jest ten wirus. Zresztą, zakupy można zrobić w pobliskich sklepach. Atrakcje miejskiego centrum, ograniczone w dużym stopniu, czekają. Dzięki codziennym spacerom z wnuczkiem w wózku, poznałam zielone okolice wokół domu. Gdzie byłam przez tyle lat? Dlaczego nie widziałam dotąd tego, co teraz widzę? Codziennie wybierałam inny kierunek, a gdy dziecko zasypiało, szukałam zielonych, spokojnych zakątków na jego drzemkę. W niewielkiej odległości od domu znalazłam krzewy pełne dojrzałych jeżyn. Później robiłam „przystanki” wśród dojrzałych owoców czarnego bzu. Zbierać i robić syropy na zimę, tak jak co roku w domu w polskim lesie? Ach, popatrzę jak rosną, zrobię zdjęcie... Od pewnego czasu jeździmy już rowerem, z rocznym maleństwem na siodelku. Trochę dalej od domu, zwiedzamy nowe zakątki. Co krok place zabaw, trafiłam też na ekologiczny z urządzeniami dla małych dzieci w zabudowie z... wikliny! Czy jestem pod Nowym Tomysłem? Pomyśla-



Cicho teraz w naszej Nowej Róży



Kajakiem do centrum Utrechtu

łam, że w przyszłym roku zbudujemy coś podobnego w Nowej Róży, mam nadzieję, że wikliniarze mi pomogą, a profesor Jędrzej Stępek, znany artysta współpracujący ze Sceną Polską, nada im artystyczny klimat. Chodzę więc po mieście zbierając pomysły i marząc o przyszłym lecie w lesie. Ale lato jeszcze trwa więc cieszę się tym, co mnie otacza. Kilkanaście lat mieszkałam w Delft, przecudnym mieście Vermeera, pół godziny od morza. Ale nie było lasów, które tak kocham. Znalazłam je wokół Utrechtu, dokąd się przeprowadziliśmy. Jednakże przyznam, nie mają zapachu polskich lasów. Cieszę się więc z ich widoku. I z widoku grzybów, bo zbieranie jest zabronione. Uważam to za absurd, więc trzymając się przepisowo wytyczonych ścieżek cieszę się widokiem napotkanych przy drodze grzybów. I co? Nie pochylę się i nie wezmę dorodnych prawdziwków i rydzów do zakamuflowanego w plecaku koszyka? Biorę, ale radość słaba. Czuję się jak złodziej. W pobliżu mojego domu jest trawnik wzdłuż ścieżki rowerowej. Rosną tam dorodne kanie. Zbieram i dzielę się z koleżanką. Mniam mniam. Osobna historia to miejsca nad wodą. Wiadomo, Holandia to kraj na wodzie. Te wody są różne. Miejsca do kąpieli są dobrze przygotowane



Ekologiczny plac zabaw „Torteluin”

i o dziwo jest ich więcej, niż myślałam. Wystarczy poszukać. Dbałość o przyrodę mają Holendrzy we krwi. Ale to już opowieść na kolejne artykuły.

Wracam do moich spacerów i do obserwacji zmian w przyrodzie. Co przyniesie

koniec lata? Co jeszcze odkryję, czego dotąd nie widziałam w moim mieście? Przypominam sobie, że parę kilometrów dalej, na łąkach przy rzece, rosły całe pola szczawiu. Rowerem trochę za daleko, chociaż zapaleni rowerzyści mogą zarzucić mi lenistwo. Przepraszam, ale rowerem w Holandii jeżdżę codziennie. Po szczaw pojedę autem... Przy okazji powiem dalsze okolice, z charakterystyczną, starą zabudową wiejską. Tutaj rzadko zaglądamy turyści. A ja może kiedyś przyjadę tutaj z przyjaciółmi, których zapraszam, ale pandemia odwiedzinom nie sprzyja. Trzeba więc poczekać, zrobię więc na razie plan. I zupę szczawiovą!

Kontakty z przyjaciółmi zmuszona zostałam, tak jak wszyscy, ograniczyć do minimum. Ale to minie i znów będzie wiosna. ■



„Miejska” czapla



Ogródek w mieście

# Muzyka nie zna granic



## VLADEK JUSZKIEWICZ

Od 28 sierpnia w Internecie można zobaczyć teledysk i posłuchać utworu z nowej płyty Mietka Szczęśniaka „BROTHERS” (Bracia). Jest to druga angielskojęzyczna płyta tego znakomitego polskiego wokalisty nagrana w kooperacji pomiędzy Polską i Stanami Zjednoczonymi. W 2007 roku Wendy Waldman, amerykańska piosenkarka, autorka tekstów i producentka muzyczna spotkała w Polsce Mietka Szczęśniaka, polskiego piosenkarza, kompozytora i autora tekstów. W następnym roku Mietek zawiązał do Los Angeles. Wydawca Wendy wynajmował lokal w budynku Polamu, Polsko-Amerykańskiej Kasy Kredytowej, w której jestem członkiem rady nadzorczej. Zadzwonił do mnie Krzysztof Hiller, dyrektor generalny Polamu i powiedział, że odwiedzi ich Mietek Szczęśniak. Mietek zaistniał na polskiej scenie muzycznej po mojej emigracji do Stanów, więc nie wiedziałem o kim mowa. W Polsce przez 13 lat byłem członkiem Chóru Akademickiego Politechniki Szczecińskiej CHAPS. Po przyjeździe do Los Angeles szukałem chóru, w którym mógłbym kontynuować moje śpiewanie. Po różnych próbach – znalazłem; był to H.B. Barnum LIFE Choir, którego to zespołu jestem członkiem od 1990 roku.



H.B. Barnum, Mietek Szczęśniak, Wendy Waldman

Dyrygent i dyrektor artystyczny, H.B. Barnum, to kompozytor, aranżer i producent, który współpracował z Sinatrą, Countem Basie, Ettą James, Arethą Franklin, Lou Rawlsem, Barrym Whitem i The Supremes. LIFE współpracował z Marylą Rodowicz, której byłem menadżerem mieszkając jeszcze w Polsce. LIFE wystąpił z Marylą w Warszawie na koncercie „Karnawał 2000”, podczas którego śpiewał po polsku. Później, w 2011 roku, współpracowaliśmy z Marylą przy nagraniu jej dysku „BUTY 2”. LIFE przez 19 lat również wykonuje polski hymn podczas gali otwarcia Festiwalu Filmów Polskich w Los Angeles (Polish Film Festival Los Angeles).

Podczas naszej rozmowy z Wendy i Mietkiem w Polamie usłyszałem, że planują nagrać dysk. Wspomniałem, że gdyby potrzebowali chóru, to polecam chór gospel, w którym śpiewam i moglibyśmy współpracować. Mietek zaniemówił, kiedy dowiedział się, że H.B. jest kierownikiem muzycznym Arethy Franklin; Aretha była jego idolką, która miała duży wpływ na jego śpiewanie.

Zaprosiłem Wendy i Mietka na próbę i przedstawiłem H.B. W zespole istnieje

tradycja, zgodnie z którą, kiedy odwiedza nas wokalista prosimy, żeby coś zaśpiewał. Po występie Mietka ludzie z chóru poderwali się, zgotowali mu owacje i oceniali jego występ w samych superlatywach; nie było uwag krytycznych. Po próbie Mietek zapytał mnie, czy to była szczerza reakcja. Odpowiedziałem, że tak.

Od tego czasu zaczął regularnie odwiedzać Los Angeles, żeby naładować akumulatory pozytywną energią i śpiewać w chórze.

W roku 2011 wyszła pierwsza angielskojęzyczna płyta Mietka „SIGNS” (Znaki). Album powstawał w studiach w Polsce i w Los Angeles, z udziałem muzyków polskich i amerykańskich. Również tego roku Mietek wystąpił z LIFE w Los Angeles i nagrał kolędę w bożonarodzeniowym albumie LIFE Choir. Relacja pomiędzy Mietkiem, Wendy, H.B. i LIFE nabierała kolorów. Powstał pomysł nagrania przez Mietka albumu gospel. Po kilku latach artystycznej współpracy połączyli siły i powstała muzyka bez granic. Płyta jest już prawie gotowa. „THERE’S WATER FOR YOU” to główny singiel z nadchodzącego albumu „BROTHERS”.

OFFICIAL VIDEO <https://youtube/DXwnotPLw5E>

<https://www.facebook.com/wendywaldmanmusic/videos/923722421438187>

Scenariusz: Mietek Szczęśniak, Wendy Waldman, HB Barnum (ZAIX Pl/Weavers Path Music BMI/Hidle Music BMI) • Produkcja: Wendy Waldman • Nagranie: Rob Hoffman w Longhouse, Los Angeles, CA • Zmiksowanie: Rob Hoffman, Jeff Hoepfner, i Wendy Waldman • Wokal: Mietek Szczęśniak • Chór: HB Barnum Life Choir • Dodatkowe wokale: Jamal Moore, Revel Day • Fortepian i klawisz: Paweł Zarecki • Bas: Carl Sealove • Perkusja: Scott Babcock • Programowanie: Jeff Hoepfner, Wendy Waldman Video wyreżyserował HB Barnum, David C. Smith i Robert Fleet • Montaż: Robert Fleet • Executive Producer: Vladek Juskiewicz.



Ronny Coleman, Mietek Szczęśniak, Vladek Juskiewicz, Billy Waldman

# „Brzmienie lasu”

Miął rok od pomysłu wydania płyty CD z muzyką myśliwską, który narodził się na X Pikniku Historycznym Nadleśnictwa Grodzisk w OSW Porążyn. Wtedy to muzycy z Zespołu Sygnalistów Myśliwskich Nadleśnictwa Grodzisk „PALATIUM” i zespołu „SOUNDS GOOD”, wykonując brawurowo aranżacje muzyki rozrywkowej, gdy obok gitar, klawiszy i perkusji zabrzmiały myśliwskie rogi, wpadli na pomysł stworzenia czegoś nowego.

To improwizowane spotkanie zaowocowało profesjonalną sesją nagraniową, podczas której zabrzmiały brawurowe aranżacje Bartka Kucza. Muzyk ten, podjął się trudnego zadania nowej aranżacji niełatwych utworów muzyki myśliwskiej, wybranych przez Wojtkę Ślicznera – lidera PALATIUM.

Muzyka, która na co dzień, kojarzy się z hermetyczną grupą myśliwych i leśników, w nowej aranżacji, może zainteresować zdecydowanie szersze grono odbiorców niż to było dotychczas.

Wydaniu tej płyty sprzyjało ważne wydarzenie, jakim jest 100-lecie działania Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu, co podkreślił specjalnie, na tę okazję, skomponowany utwór „Hejnał Leśników Poznańskich”. Płyta zawdzięcza swoje powstanie staraniom wielu osób i instytucji, począwszy



Zespół „Sounds Good” w studiu nagraniowym

Fot. M. Komorowski

od RDLP w Poznaniu i jej dyrektorów, poprzez Stowarzyszenie Coolturałna Opalenica, Centrum Kultury i Bibliotekę w Opalenicy i Nadleśnictwo Grodzisk, do muzyków, którzy w ten projekt włożyli Swoje serca i talenty.

Na razie płyta dostępna jest tylko w nadleśnictwach RDLP w Poznaniu,

jako materiał promujący jubileusz 100-lecie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu.

**ŻYCZYMY MIŁYCH WRAŻEŃ I DARZ BÓR!**

**TOMASZ KAŁEK  
WOJCIECH ŚLICZNER**



Zespół Sygnalistów Myśliwskich Palatium

Fot. Archiwum Nadleśnictwa



Okładka płyty „Brzmienie lasu” Fot. E. Kozłowska

# Gorzko-słodka pocztówka z Polski



## JACEK KAŁUCKI

Moi Drodzy!

Niestety muszę zacząć od tego, że ostatnio „koscia” niebezpiecznie się rozluźniała. Zabrała nam z ziemskiego padła Wspaniałych Artystów. Tradycyjnie zadajemy sobie retoryczne pytanie... dlaczego akurat Oni i to właśnie teraz?! Ubożeje nam pomału nasza kultura, szczególnie kiedy z następcami jest krucho a promuje się ludzi nie patrząc na talent i dokonania, tylko na „jedynie słuszny” sposób myślenia. Na tegorocznym festiwalu opolskim w koncercie upamiętniającym twórczość Romualda Lipki nie zaproszono „Budki Suflera”! Powód? Spór zespołu z Krzysztofem Cugowskim, który z kolei jest głaskany przez obecnych decydentów. A przecież trawstując wiersz Majakowskiego; mówisz „Budka...” a w domyśle Lipko, mówisz Lipko a w domyśle „Budka...”! Czekam kiedy przy okazji omawiania wartości literackiej „Hamleta” pominie się... Hamleta, bo gówniarz ma obrazoburczą rozterkę czy być, czy nie?

A teraz na dodatek COVID – 19 i ograniczenie działalności artystycznej! Niektóre teatry czy sale koncertowe funkcjonują od niedawna, ale przy 50% widowni i jeszcze w maseczkach na twarzy. Jednak generalnie tzw. show biznes zamarł. Oczywiście bliższa ciału koszula i głównie myślę o moich kolegach i koleżankach aktorach, którzy (szczególnie Ci bez etatów – a ich jest najwięcej) żyją na granicy ubóstwa. Ale oczywiście nie zapominam o managerach, organizatorach imprez, reżyserach, muzykach, dźwiękowcach, oświetleniowcach, charakteryzatorach, scenografach, kostiumologach... czy chłopakach którzy budują sceny w plenerach albo bileterkach czy kierowcach wszelakiego transportu, którzy również są w tragicznym położeniu. I tutaj nie ma owych „znawców zagadnienia”, którzy powinni pochylić się nad losem artystów, pomóc ludziom, a nie wciąż nawijać makaron na uszy, obiecując to i tamto, zapewniając... z czego nic nie wynika. Czasami odnoszę wrażenie, że ten zastój jest na rękę rządzącym – po cholere jakaś tam kultura skoro dzisiaj chamstwo jest w cenie!

Na szczęście sporo twórców nie poddaje się i w myśl słów Wojciecha Młynarskiego... „robi swoje”. Powstają nowe inicjatywy, koncerty, wernisaże i spektakle. Napisałem czwartą odsłonę dywagacji Pana „A” z Panem „B” pod wszystko

mówiącym tytułem: „Nowe, stare czasy” (byliśmy w Holandii z dwiema jednoaktówkami; „Jakoś to będzie” i „Będzie tylko lepiej”). Obecnie jesteśmy już po pierwszej próbie czytanej. Reżyseruje Maciej Wojtyśko, muzykę napisał Piotr Żurowski, Pana „A” kreuje z wdziękiem i bezpretensjonalnością Marek Siudym a ja próbując dorównać mu kroku gram Pana „B”. Tym razem mamy utrudnione zadanie, gdyż jest to tak wymyślone, że współgramy z publicznością, której na dzień dzisiejszy... prawie nie ma. Ale mamy nadzieję że ta anomalia wkrótce się skończy i pokażemy Wam owoc naszej pracy. W komedii „Nowe, stare czasy” Pan „B” po wielu perturbacjach prywatno-zawodowych jest przewodniczącym Wspólnoty Mieszkaniowej pewnego Osiedla a Pan „A” po raz kolejny chce przekonać swojego kompana do wspólnego, szalonego biznesu. Czy mu się uda? Tęgo nie zdradzę, ale zapewniam że będzie się działo...oj będzie!

Ale z tego wszystkiego „odleciałem” od tematu, któremu miałem poświęcić najwięcej miejsca. Chociaż w dwóch słowach chcę wspomnieć Tych, co być może na Zielonych Pastwiskach tworzą teatry, spektakle, koncerty a przybywa Ich tam – szczególnie ostatnio, coraz więcej. Nie chcę o Nich pisać w formie poważnych klepsyd, gdyż były to... Kolorowe Ptaki! Wszyscy wybitni z wielkim dorobkiem i w jakiś sposób bliscy memu sercu. Jerzy Gruza – mistrz ciętej riposty. Król towarzystwa i przedni anegdociarz. Pogromca niewieścich serc. Nigdy nie wiedziałem kiedy żartuje a kiedy mówi serio – stąd były czasem drobne nieporozumienia. Romuald Lipko, gdzie z Jego wielkimi przebojami i „Budką...” przemierzałem życie od wczesnej młodości, począwszy od „Snu o dolinie” po „Bal wszystkich świętych”. Bernard Ładysz, którego jako dziecko na rodzinnych imprezach nasładowałem w Arii Skołuby, za co dostawałem gromkie brawa i cukierki od ciotek. Emil Karewicz z którym przez 11 lat byłem w jednym teatrze. Zawsze profesjonalny, obdarzony specyficznym poczuciem humoru, ale... na swój temat niekoniecznie. Ciepły, koleżeński i prawy człowiek – bardzo się lubiliśmy! Jerzy Pilch, którego poznałem na stadionie Polonii Warszawa bo przyjechał kibicować swojej ukochanej Cracovii. Zapytałem skąd wzięła się taka miłość do tego klubu? Odparł z pełną powagą: „Zachwyciłem się koszulkami, żadna inna drużyna nie miała tak fajnych.” Krzysztof Penderecki na którego w 1973 roku wpadłem na schodach krakowskiej Szkoły Teatralnej. Pierwsze dwa pietra zajmowała Szkoła Muzyczna, której był Rektorem. Razem zbieraliśmy porozrzucaną partyturę. Później jak mnie widział, uśmiechał się i zawsze powtarzał: Ja Pana zapamiętam! Andrzej Strzelecki, którego nie sposób było nie lubić i nawet wybaczałem Mu przydługawe opowieści o ulubionej grze w golf. Szalenie ciepły i przyjacielski. A Jego poczucie humoru – bezcenne! Piotr

Szczepanik – poznałem Go w ,91 roku kiedy był szefem Zespołu Współpracy ze Środowiskami Twórczymi w Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy. Cudowny człowiek, ale do tej funkcji kompletnie się nie nadawał! Za to na zawsze ugruntował mnie w przekonaniu, że „kochać, to łatwo powiedzieć...” No i na końcu... Ewa Demarczyk! Był rok ,74. Dowiedziałem się, że na parę dni przyjechała do Krakowa po zagranicznych wojazach i ma się spotkać z przyjaciółmi w „Piwnicy pod Baranami” – oczywiście po programie kabaretowym. Musiałem Ją poznać! Tym bardziej że do „Piwnicy” miałem wejście o każdej porze. Strzeliłem sobie piweczko dla kurażu i ruszyłem na spotkanie z Gwiazdą. Było sporo „Piwniczn” z Piotrem Skrzyneckim na czele. Demarczyk siedziała na stole i snuła opowieści o tym, jak za żelazną kurtyną jest różnie; dobrze, ciekawie i... kolorowo. W pewnym momencie wykorzystując jakąś dłuższą pauzę, podszedłem do Niej i z pełną powagą, bacząc żeby mi się język nie płątał, dykcyjnie, zapodałem:

– Jestem Pani dozgonnym pupilem – zapadła cisza. Demarczyk swoim przenikliwym wzrokiem zlustrowała mnie od góry do dołu i spytała:  
– Kim ty jesteś?  
– Już powiedziałem, jestem Pani dozgonnym pupilem.  
– Ale ja ciebie nie znam.  
– Nie szkodzi. Ale ja Panią znam. Poza tym to ja jestem Pani pupilem, a nie Pani moim.

W tym momencie wszyscy ryknęli śmiechem! Ewa też zaczęła się śmiać myśląc, że to jest jakiś żart, który z gotowali jej przyjaciele. Stałem jak osłupiały. Jeszcze wtedy nie skumałem, że zamiast powiedzieć „wielbicielem”, „fanem”... powiedziałem „pupilem”. Demarczyk uściskała mnie a ja byłem w siódmym niebie! Po pięciu latach, kiedy pracowałem już w warszawskim teatrze na zaproszenie Piotra Skrzyneckiego udałem się do Teatru Żydowskiego, gdzie odbywał się Jej recital. Po programie poszedłem za kulisy. Stałem na korytarzu ze Skrzyneckim, Zaryckim i Paletą. W pewnym momencie ze swojej garderoby wyszła Ewa i miała jakąś sprawę do Piotra. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i powiedziała:

– O, widzę że i mój dozgony pupil się zjawiał. Jak miło! – I po raz drugi i... ostatni uściskałem się z Czarnym Aniołem. Tak Pani Ewo, na zawsze będę Pani „dozgonnym pupilem” i mam nadzieję że jeszcze się uściskamy!

A póki co, to ściskam Was – moje Drogie Polonusy! Mam nadzieję, że uda nam się w miarę szybko wyjść z tego „zaklętego kręgu” i wejść w nową rzeczywistość o której Tomek Lipiński śpiewa że... Jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie! Chciałbym przywieźć Wam do Holandii dwie sztuki „Za lepsze czasy” i ostatnią produkcję „Nowe, stare czasy”. A po spektaklu zasiąść przy wspólnym stole i pogadać jak... Polak z Polakiem.  
POZDRÓWKO!!!



## ALEK SILBER

Istopadowy poranek. Ciemno, zimno, pada deszcz. Pusty chodnik połyskuje w blasku latarni. Czasem mrok przeszycie ostry snop światła zbłąkanego autobusu. W świetle reflektorów ukazują się, zacinające ukosem, gęste krople deszczu, by po chwili zniknąć w ciemności. Wzdłuż budynków przemyka czasem spieszny przechodzień, którego los wygnał z ciepłego łóżka do pracy. Pochyla głowę, ręce wciska w kieszenie płaszcza i biegnie co sił. Nie zwraca uwagi na ponure witryny sklepów, zacieki na szarych murach i sterzące badyłe telewizyjnych anten. Idziesz szybkim krokiem, chowasz głowę w podniesiony kołnierzyk, patrzysz na blade światło, wstając za ścianą wieżowców i zastanawiasz się, gdzie jest prawdziwe życie, owo pełne, wspaniałe, interesujące życie. No, bo chyba nie tu? Ale czy jest u Sartre'a lub na Huxleyowskiej Wyspie, a może w Hollywood? Już wiesz. Życie jest u Zorby, w ciepłej Grecji, na skalistych wyspach. Tam ludzie nie wstają o szóstej rano. O tej porze jeszcze słodko śnią, odspijając libacje ostatniej nocy. A gdy się przebudzą, około południa, kładą się na słonecznej plaży, by wieczorem znowu pójść do tawerny, pić wino i tańczyć całą noc, aż do utraty zmysłów. Potem myślisz, że jednak nie.

Życie jest w Paryżu. W kawiarence spotykają się młodzi malarze, poeci, studenci w obdartych dżinsach. Poprzez gęsty dym голуazów trudno oddzielić ich ciemne brody od długich włosów. Z nimi ładne dziewczyny w biodrówkach i futrzanych kamizelkach. Siedząc przy małej czarnej i tanim winie, godzinami rozważają sens życia i rolę sztuki. Z pasją uzasadniają, że forma nie musi być podporządkowana treści, i czemu harmonia i piękno w sztuce są paszę. Ktoś tam w kąciku brzdąka na gitarze. Przy barku całuje się namiętnie zakochana para. Potem rozejdą się do odrapanych mieszkań na szóstym piętrze, ze wspólną ubikacją. Jedni będą malować, inni pójść po zakupy, a niektórzy będą się kochać. Nastawią płytę Dylana, może Albiniego. Położą się w milczeniu, spojrzą na opadający z sufitu tynk i pomyślą: cóż z tego? Zrobi im się żal siebie samych, że nic, aż zobojętnieni dojdą do wniosku, że cóż z tego, że nic. Chłopak wstanie, włoży koszulę, zje kawałek suchej bułki z kielbasą, wyjrzy przez okno, powolnym krokiem wróci do łóżka, położy się w milczeniu i machinalnie obejmie dziewczynę. Nie, to też nie to.

Może życie jest we Florencji? Chłopcy snują się w czarnych pelerynach i szalach do ziemi, dziewczęta w bucikach o szerokich noskach i grubych obcasach. Roześmiani spacerują po Piazza Della Signoria. Przy kawiarni spotykają znajomych, zatrzymują się. – Ciao, Ciao – umawiają

# Przed świtem

się na wieczorne spotkanie. Nonszalancko i beztrosko przechodzą po Ponte Vecchio, do wieczora jeszcze dużo czasu, starczy na niejedno wino. We Florencji nawet deszcz pada inaczej. Tu, gdzie z każdego kamienia przemawia historia, gdzie pod każdym łukiem ktoś kiedyś przysiadł, deszcz wygrywa sonaty na rynnach. W starych pałacach Amerykanie wydają przyjęcia, leje się chianti z butelek w wiklinie, prosto do ust. Po kątach palą marihuanę, na schodach się całują. Gdzieś na poddaszu Brazyljka w ponczo, Australijka, dwóch zbuntowanych Amerykanów, lewicujący Niemiec, Holenderka i trzech Włochów. Żywo dyskutują o ostatnim filmie Godarda –... lecz jego wizja jest subiektywna, czas i przestrzeń są tu tylko fikcją, liczy się moment, liczy się świadomość. Patrząc z perspektywy schizofrenika... – mówiący gestykulując w podnieceniu przewrócił szklankę. Dyskusja jakby zawisała w powietrzu. Brazyljka dyskretnie odeszła do następnej grupki, Holender poszedł po chianti i w tym momencie opadł entuzjazm. Rozmawiających ogarnęły uczucia rozczarowania i niesmaku, bo w końcu do niczego nie doszli. Wszystko wydało się głupią zabawą, w której każdy udawał, że wierzy w możliwość dojścia do jakichkolwiek wniosków, co więcej, że wnioski te można zastosować w życiu, jakby w życiu w ogóle dało się cokolwiek zmienić. O wdzięczna Florencjo, pomniku piękna, słodka uludo młodości. Lewa noga, prawa, lewa, prawa. Szum samochodów na wilgotnej jezdni. Czerwone światło. Stop. Biegiem przez jezdnię. Stacja benzynowa, fryzjer, słodczy, kiosk z gazetami, naprawa butów, magazyn śrub, opony, remont, lewa, prawa, lewa, prawa... Odbicie w szybie sklepowej. Znajoma sylwetka pogrążona w zadumie.

Jak to uchwycić? Jak wszystko ogarnąć, zmieścić w dłoni, trzymać mocno i nieść ze sobą. Tyle pytań, nie zaspokojonych pragnień, nie rozwiązanych problemów, taki ogrom przed sobą. Myśli chaotycznie przeskakują z tematu na temat. Patrzysz w dół i dostrzegasz swoje stopy, odmierzające kroki. Przy każdym kroku czujesz mięśnie prężących się ud, jedna noga, druga, krok, drugi krok. Idziesz z pełną świadomością każdego stąpienia, pod stopami chodnik, wilgotny, twardy. Czujesz, jak się nad tym chodnikiem unosisz, na obydwu nogach. Cóż za niezwykle uczucie. Po prostu iść, w deszcz i półmrok. Czy to nie wspaniale, że tak możesz, na własnych nogach? Możesz skrócić w prawo lub w lewo, szybciej lub wolniej. Możesz podskoczyć, nawet przykucnąć. I nagle rozumiesz, że życie jest tutaj, na tej brzydkiej, mokrej i zimnej ulicy, w tym ułamku sekundy, w którym stopa nadepnęła na przemokniętą kawałek gazety.

Za antykwariatem jest sklep z aparatami fotograficznymi, samoobsługa, fryzjer damski oraz kafejka Drewniana Łyzka. Trudno sobie wyobrazić lokal mniej ciekawy. Nie jest ani ładny, ani brzydki, ani czysty, ale też nie jest zbyt brudny.

Cztery ściany są pomalowane na zgnilo żółty kolor, bar, stoły ustawione w trzy rzędy, przepisosowa grająca szafa i automat do gier. O tej porze jest tu jeszcze pusto. Przy stoliku w rogu siedzi murarz w ciężkiej jodłowej jesionce. Rudej kelnerki, o grubych nogach, jeszcze niema. Na razie obsługuje tylko szef, odziany w biały fartuch. Resztki swoich włosów rozdzielił idealnie pośrodku głowy i suto namaścił brylantyną. Krząta się przy elektrycznym imbryku dumnie, z uśmiechem. Co jakiś czas otwiera kranik i para z sykiem wylatuje do dołu, zakręca i pnie się w górę, aby rozbić się na kształt grzyba, o dziurkowaną płytę sufitu. Nawet jest mu do twarzy w białym kitlu, na tle parowego grzybka. Wchodzą pojedynczy klienci. Biorą swoje herbaty i siadają przy zgnilo czerwonych stolikach. Zmywacz okien czyści frontową szybę, otwierając widok na świat. Stan przejrzystości nie trwa jednak długo. Nim skończy jedną część, już ta poprzednia od nowa zachodzi powłoką pary, chroniąc tajemnicę kafejki przed oczami przechodniów.

Jakiś chłopak wrzuca monetę do „grajszafy”, naciska dwa guziki i po chwili kafejka wypełnia się dźwiękami znanej melodii... to były dni mój przyjacielu... Ciekawe, jakie to były dni dla staruszka o dużym, czerwonym nosie. Głowę oparł na spracowanej, pooranej dłoni i pijąc herbatę, studiuje program wyścigów konnych. Ciągłe ma nadzieję, że jego wielka wygrana przyjdzie któregoś dnia, bo jeszcze nie przyszła, a przecież kiedyś przyjść musi. A ty? Ty, z baczkami, w brudnej koszulce polo i spodniach umazanych tynkiem, jakie były twoje dni, czy też dopiero będą? Czy kiedyś w ogóle nad tym się zastanawiałeś? A jeśli tak, to dlaczego nie widać tego na twojej bezmyślnej gębie? Gubisz się w rozmyśleniach, bo jak tu ustawić małego, bezmyślnego Hindusa naprzeciw buddyzmu? Jak przykleić czerwony, porowaty nos do egzystencjalnych poszukiwań Sartre'a? Jak zbliżyć popękane dłonie do czystych kartek książki? I czy w ogóle warto, czy trzeba? Co ma większą rację bytu – nadzieja, że ten wymarzony koń kiedyś przybiegnie, czy pewność, że nie? Niechaj więc pozostanie tak, jak jest: zostaw nadzieję jednemu, a otchłań własnych myśli drugiemu. I tak się nie zmienia. Nie chcą, nie potrafią, nie potrzeba.

A jednak jest w Drewnianej Łyzce jakieś niewidzialne, zaledwie wyczuwalne ciepło. Czy to para z imbryka, czy zamglona szyba, czy niskie tony „grajszafy”? Jest tu coś przychylnego, coś pozytywnego. A może jest to czysty subiektywizm, urojone poczucie podniosłość i chwili. Chyba tak. Ale czy to ważne? Może po prostu ogarnęło cię uczucie, że w ponury, listopadowy poranek, tu, w tej dziurze, gdzie nic się nie dzieje i niczego osobliwego nie ma, gdzie wszystko jest szare i bez wyrazu, gdzie nawet przeciętność nie osiągnęła swego szczytu, że tu pulsuje życie. A może się po prostu oszukujesz? ■

# Koronne problemy



**JERZY SKOCZYLAS**

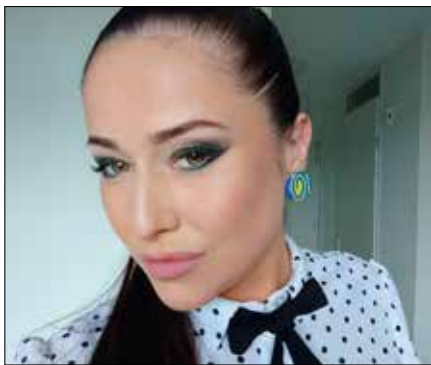
A kiedy już zrzucimy maski,  
przestaną od nas brać wymazy,  
skurczy się międzyludzki dystans,  
znikną zakazy i nakazy.  
Ożyją parki i kawiarnie,  
spotkamy się na dyskotekach  
i znów przytuli się stęskniony,

samotny człowiek do człowieka.  
Zachwyci nas uroczą pani  
spacerującą po ulicy,  
z zupełnie odsłoniętą buzią,  
bez rękawiczek i przyłbicy.  
I zaprosimy ją na wino,  
do bistro, bo już będzie wolno ...  
i opowiemy jej na ucho  
jakąś historię dość frywolną.  
A ona wcale się nie zgorzyszy,  
ba, nawet się nie zarumieni,  
a my będziemy w nią wpatrzeni  
i coraz bardziej zachwyceni.  
I robi się tak sympatycznie,  
że zaprosimy ją do siebie,  
a ona na to w mig przystanie,  
więc poczujemy się jak w niebie.  
Zastosujemy stare chwytły  
i dla kurażu i odwagi

zaserwujemy wonne drinki  
i hit puścimy Lady Gagi.  
Zacniemy szeptać słodkie słówka  
w klimacie czulej wiwisekcji ...  
a ta sięgając do torebki  
wyciągnie płyn do dezynfekcji  
i zacznie psikać tym cholerstwem  
po rozmaitych członkach ciała,  
i pod działaniem preparatu  
wszystko pokurczy się bez mała.  
Romantyzm nagle się ulotni  
i już nie będzie fantastycznie,  
tylko kompletnie beznadziejnie,  
choć czysto i antyseptycznie.  
Rozpadnie się bastylia uczuć,  
odpłynie popęd i pokusa.  
Oj, długo jeszcze pocierpimy  
z powodu korna-wirusa.

## Flow by Mo

„Czas Covidu jest dla nas wszystkich nie tylko nowym doświadczeniem okraszonym ogromnym stresem i lękiem o przyszłość. To również czas w pewnym sensie historyczny, w którym pandemia koronawirusa stawia pod ścianą wszystkie modele opieki zdrowotnej na całym świecie. Jak każdy wirus rozprzestrzenia się błyskawicznie i tylko świadomość, ostrożność a przede wszystkim zdrowy rozsądek są w stanie nas uratować. Nie jestem lekarzem, ale na mój rozum to panika jest naszym największym wrogiem. Panika w mediach, panika na ulicy. To właśnie przez panikę najbardziej cierpi nasze zdrowie psychiczne.”



I tu wchodzi ona (cała na biało – chciałoby się rzec), Monika Stępień. W czasie, w którym obserwowujemy raczej gwałtowny wzrost bezrobocia postanawia rzucić pracę (manager w biurze pośrednictwa pracy) i w końcu zrobić coś, co od dawna przechadza się jej między uszami. W ciągu dwóch dni powstaje nowa marka, Flow



by Mo (<https://www.flow-by-mo.com>), a Monika spełnia w końcu swoje największe marzenie, jakim jest życie z rękodziela, a konkretniej z tworzenia biżuterii.

Nazwa, logo, sklep internetowy, zakup części, ozdób, opakowań. To wszystko zostało wykonane w ciągu zaledwie dwóch dni. Bez przygotowania IT, bez specjalnej, technicznej wiedzy. Za to z ogromną pasją do tworzenia. Pokładam



kreatywności jakiej nie powstydziłby się absolwent ASP. Po kilku tygodniach wysyłki do USA czy Kanady były niczym chleb powszedni.

„Koronawirus to nie powód do rozpacz. To dla nas ogromna szansa (nie tylko na posprzątanie piwnicy). Kiedy jak nie teraz będziemy mieli czas na zatrzymanie się na chwilkę w tym pędzącym jak intercyty życiu? Za wszelką cenę szukajmy pozytywów pandemicznej rzeczywistości bo o negatywy troszczą się przecież wszyscy wokół nas”.

Plany na przyszłość? Monika nie rozpisuje życia na kilka lat do przodu bo życie nie raz pokazało, że jest zależne nie tylko od poczynań samej Moniki.

„Codziennie może wydarzyć się milion rzeczy, które raz na zawsze zniwelują wszystkie solenne plany dlatego żyjmy tu i teraz. Kochamy malować – malujmy. Uwielbiamy śpiewać – śpiewajmy. Liczy się to, co nam i naszym bliskim sprawia radość. Szczególnie teraz”. **ZSC**



# Olbrzym na wielkiej tamie, czyli wakacyjne lektury z Holandią w tle



## GRAŻYNA GRAMZA

Czy można polecać niezbyt ambitne lektury? Chyba tak. W końcu były wakacje i nie każdy musiał zaczytywać się w dziełach wybranych Szekspira czy studiować wykłady Feynmana. Od lat hobbyistycznie szukam książek, które mają temat lub wątek holenderski. Czytam również literaturę niderlandzką i cieszę się jak znajdę w niej coś polskiego. W książce, o której chcę najpierw napisać mamy i akcję dziejącą się w Holandii, i Helmuta o swojsko brzmiącym nazwisku: Paderewski, a główny bohater, Van Effen, świetnie mówi po polsku. Zna jeszcze trzy inne języki ale ten polski nastraja mnie do niego przyjaźnie. Niestety pan porucznik traci trochę przy bliższym poznaniu, bo zachowuje się jakby był nieomylny, a jak wiadomo „ideałów się nie kocha”. Kto lubi Alistaira MacLeana to już się zorientował, że chodzi o jego powieść sensacyjną „Wielka tama” (1991), która ukazała się w Polsce również pod tytułem „Śluza” (1997). Książkę czyta się szybko i chociaż znajdziemy w niej wiele nieścisłości, albo wręcz głupot, to jest ona świetną i niezobowiązującą rozrywką na lato. Jak to u MacLeana: wybuchy i pogoń za bandytami. Tutaj tymi złymi są działacze z FFF – Fighters for Freedom, irlandzkiej grupy terrorystycznej, pragnącej wymusić wycofanie się Anglików z Irlandii Północnej. Peter van Effen, poli-

cjant, specjalista od pirotechniki, prowadzi śledztwo, od którego zależy los kraju. Jeśli Van Effen zawiedzie, to terroryści wysadzą najważniejszą tamę i cały kraj zostanie zatopiony. Również zginą ludzie w Irlandii. Książka nie jest nudna. Na pewno nie jest to „Tylko dla orłów” ale przyzwoita sensacja. Mankamentem jest niestety polskie tłumaczenie „Wielkiej tamy”, które wymaga wiele do życzenia. Przykładem niech będzie takie zdanie: „Jak na człowieka, który urodził się, dorastał i pracował w Utrechcie, Vasco wykonywał polecenia Romero Agnielli wyjątkowo gładko [...]”. Brzmi dość bezsensownie, bo co ma urodzenie do posłuszeństwa? Okazuje się, że w innym wydaniu zdanie to brzmi inaczej: „Jak na człowieka, który urodził się, dorastał i pracował w Utrechcie jako policjant, Vasco był wzorem opanowania [...]”. To brzmi już lepiej i pozwala wnioskować, że miasto to zamieszkuje z reguły wyjątkowo nerwowi mieszkańcy, a opanowanie to rzadka u nich cecha. Czy to prawda? Tak sądził szkocki pisarz. Co jeszcze myślał o Holandii? Przeczytajcie.

Przeglądając Internet w poszukiwaniu czegoś niezobowiązującego do czytania natrafiłam na książkę Agathy Christie zatytułowaną „Chleb olbrzyma”. Tytuł nic mi nie mówił, a przecież twórczość królowej kryminału jest mi znana. W Wikipedii znalazłam informację, że to jedna z książek obyczajowych, którą Christie napisała pod pseudonimem Mary Westmacott. Po raz pierwszy ukazała się w 1930 roku. Książki nie czytałam ale jej wysłuchałam. Mogę polecić tym, którzy lubią śledzić „zwyčajne” życie innych ludzi. Fabuła dotyczy losów Vernona Deyere, który nieoczekiwanie odkrywa u siebie talent muzyczny. W tym samym czasie zakochuje się w dawnej towarzysze zabaw dziecięcych i musi wybierać

między statecznym życiem, a komponowaniem. Życie młodej pary nie zdążyło nabrać rutyny kiedy Vernon ginie na wojnie. Powieść skłania do myślenia, bo dotyczy tego, z czym zmagają się człowiek przez całe życie- z własnymi wyobrażeniami, z uprzedzeniami, z odziedziczonymi lękami... Nie zdradzając do końca fabuły, napiszę tylko, że Vernon nie umarł. Stracił pamięć i po kilku latach został rozpoznany przez przyjaciół. Tu dochodzę do interesującego mnie w książkach wątku- mianowicie Vernon znalazł się na terenie Holandii, która w I wojnie była neutralna. W Holandii znalazł pomoc, ale też uległ wypadkowi, który skomplikował mu bardzo życie. „Chleb olbrzyma” jest interesujący, chociaż sam bohater chyba nie do końca daje się polubić. Pewnie zastosowanie ma tu prawda, że jeśli sami siebie polubimy, to inni też nas nie będą darzyć sympatią, a on siebie nigdy nie lubił. Oprócz Vernona w lekturze występuje mnóstwo innych ludzi: od nianiek opiekujących się Vernonom w dzieciństwie, rodziców, po przyjaciela- bogatego rosyjskiego Żyda dzięki, któremu talent Vernona mógł osiągnąć szczyt. Agatha Christie opisuje życie bogatej klasy średniej i arystokracji. Przybliżyła nam świat jeszcze wiktoriański, który zniszczyła Wielka Wojna. To świat pięknych sukien, polowań, życia w posiadłościach wiejskich ale też świat, w którym ludzie muszą poszukać swojego miejsca, bo zadania, które życie przed nimi stawia nijak nie przystają już do starych ram. Książka bardzo mi się podobała, i chociaż tym razem nie był to kryminał warto było poznać inną Christie.

Książka ukazała się po raz kolejny w Polsce w 2017 roku nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego w tłumaczeniu Macieja Grabskiego pod tytułem „Cena geniuszu”.





## ATELIER GRACE WYCHOWANSKA

Noordeinde 47 d  
2514 GC Den Haag  
Mob. 06 13 57 82 70

Vertegenwoordigd door:  
Galerie Bos  
Fine Art Den Haag  
Korte Vijverberg 2  
2513 AB Den Haag

### **Powrót do Itaki**

Tadeusz Rawa

*A kiedy odzyskała już swojego chłopa,  
Tak oto powiedziała żona Penelopa  
(kiedy już był wrócił, potem w tego wyniku  
wystrzelał oraz wyrznął niecnym zalotników)*

*A więc, gdy roztaczając swe dojrzałe wdzięki  
Rzekła: Czy po drodze były jakieś... hm... panienki?  
Panienki? – odrzekł Odys, nadrabiając minę  
Ależ skąd! Nie! W życiu! Tyś jest moją jedyną!*

*Mówiąc to, rumienił się i unikał wzroku  
Więc w celibacie sobie byłeś, rok po roku?  
No... w sumie... ten tego... jakby to tu powiedzieć...  
Najlepiej powiedz prawdę. Ja chcę wszystko wiedzieć,*

*Jak Herze na spowiedzi. Ona wszystko słyszy.  
No więc... Czasem robiłem to dla towarzyszy  
Gdy jedna taka wróżka w wieprze ich zmieniła  
Gdyby nie ja, to pewnie większość by nie żyła*



*Biedactwo! Cóż za poświęcenie! Brawo!. No cóż...  
Kiedy ja w wierności czekałam, aż wrócisz już  
I licząc pośród też każdy dzień i godzinę  
W dzień tkalam, w nocy prutałam tę oto tkaninę...*

*Więc wszystko niby... dobrze? – pyta Odys grzecznie.  
Hm... niech no pomyślę... w sumie to... nie koniecznie  
I otwiera drzwi. A tam kłębi się nowa zalotników kupa!  
U każdego w garści kałasz, granat, bazooka*

*Pobladł Odyseusz, bo chociaż wielki chwyt, lecz  
Widzi, nie pomoże tu tuk, nie pomoże miecz  
To ja może... pójdę już, bo tak jakoś czuję  
Że jeszcze trochę sobie jakby... pożegluję*

*I pędem do łodzi: – Szybko! Podnosić żagle!  
Ależ szefie! Właśnie wróciłam... Co tak nagle?  
Odpywamy! Migiem! Nie rozumiesz człowieku?  
Przybyli zalotnicy z dwudziestego wieku!*

Lublin, 20.08.2020



Fot. Tomek Tomaszewicz

## Wizytówka Nowego Tomyśla – GRATULACJE!

Największy wiklinowy kosz świata projektu Jędrzeja Stępaka – po rekonstrukcji w sierpniu 2020 r.  
Wpisany w 2000 i 2006 roku do Księgi Rekordów Guinnessa.



#PolandWillWait